

## „Mała Marysia, maszyna do szycia i miasto, którego miało nie być”

Do napisania tej historii skłoniła mnie rozmowa z moją babcią Marysią, która obecnie liczy 84 lata. Podczas odwiedzin w jej domu, zauważyłam w jednym z pomieszczeń na poddaszu, stary, zniszczony mebel, który okazał się być przedwojenną maszyną do szycia. Babcia opowiedziała mi jej historię, która jest zarazem tragiczną opowieścią o moim mieście Jasle i dzieciństwie babci, które przypadło na okres II wojny światowej.

Po 5 latach wojny, 13 września 1944 roku, jak grom z jasnego nieba, spadł na ludność Jasła rozkaz komendanta wojsk niemieckich, nakazujący wszystkim, bez wyjątku mieszkańcom, pod groźbą rozstrzelania opornych, opuszczenie miasta, najpóźniej do 15 września 1944 roku i udanie się na wysiedlenie do pobliskich miejscowości.

W atmosferze terroru, wśród ogólnego zamieszania, ludność rzuciła się, do niemal panicznej ucieczki z miasta, zabierając ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, to co można było unieść w tobołkach na plecach lub wywieźć na wózku, bo nie było innych środków transportu. Moja babcia wraz ze swoją mamą, a moją prababcią Ludwiką udały się do rodziny w Harkłowej. Zabrały ze sobą na wózku tylko trochę odzieży, pościeli i żywność oraz warsztat pracy mojej prababci czyli maszynę do szycia marki Singer. Zostawiły za sobą całe swoje dotychczasowe, dla mojej małej babci bezpieczne życie i spokojny dom w pięknym Jasle. Przed wyjściem z miasta, prababcia Ludwika zakopała jeszcze w ogródku parę porcelanowych talerzy, filiżanek i jakieś rodzinne dokumenty.

We wspomnieniach babci wyrzył się strach przed nieznanym, który odczuwała w tamte dni i widok nieprzerwanej rzeszy ludzi opuszczających miasto: dorosłych, starców, dzieci, ludzi zdrowych, kalek i chorych.

Po wysiedleniu mieszkańców, hitlerowcy z polecenia ówczesnego niemieckiego starosty Jasła Waltera Gentza przystąpili do rabunku pozostawionego mienia i jego wywozu do Niemiec oraz do czteromiesięcznego, systematycznego, planowego palenia, wysadzania i burzenia miasta.

Babcia zapamiętała, wieczorne rozmowy swojej mamy z krewnymi, u których się zatrzymali o wieściach przynoszonych przez znajomych, że nad Jasłem widać łuny ognia i czarnego dymu i słysząc wybuchy, ale nikt wtedy nie chciał dać wiary tym pogłoskom.

Po wyzwoleniu Jasła w styczniu 1945 roku, prababcia Ludwika zdecydowała się wiosną, wraz z córką wrócić do domu, do swojego ukochanego Jasła, aby tam czekać na powrót męża, zabierając ze sobą jedyną cenną rzecz- maszynę do szycia.

Widok, który zastały na miejscu był przerażający, z miasta, które było uważane za jedno z piękniejszych na Podkarpaciu, nie pozostał kamień na kamieniu. Rodzinny dom babci nie było, został spalony, tak jak inne domy, kościoły, szkoły, budynki użyteczności publicznej, szpital, sąd i więzienie, wszędzie widać było tylko czarne, zwęglone zgliszcza i stosy gruzów, a pośród ruin hulał przejmujący wiatr. Na palcach policzyć można było ocalałe z szaleństwa zniszczenia budynki. Przygarnęła ich sąsiadka, dając zamieszkanie w ocalałej komórcie, w której przy małym okienku prababcia postawiła swojego Singera.

Wkrótce zaczęli przychodzić do niej dawni sąsiedzi i powracający do Jasła inni mieszkańcy, aby zreperowała im ocalałe z wojny ubrania czy pościel, albo coś uszyła, w zamian płacąc czym kto miał: ziemniakami, kaszą, kozim mlekiem, mąką, czasem cukrem. To pozwoliło przeżyć im te trudne pierwsze, powojenne miesiące w „mieście, którego nie ma”, jak określano Jasło w gazetach, zanim wrócił pradziadek.

Moi pradiadkowie z czasem wybudowali nowy dom, a babcia Marysia wreszcie rozpoczęła naukę w szkole. Również mieszkańcy Jasła, mimo tragedii jaką przeżyli, nie poddali się i zniszczone, bez żadnej przyczyny, a tylko z nienawiści w 97% miasto odbudowali. Po wystuchaniu historii babci, dziś spacerując po moim rodzinnym mieście, bardziej doceniam to, że żyję w czasach pokoju i szanuję swoich dziadków, za to, co przeżyli i zrobili, żeby w takich czasach mogła żyć.